

*Czyż nie mamy do wszystkich swoich postaci
takiego mniej więcej stosunku:
to jestem ja i niech mi Bóg wybaczy?*
(Graham Greene)

Człowiek myśli, Bóg się śmieje.
(przysłowie żydowskie)

Żadne podobieństwo nie jest przypadkowe.
Wszystkie te historie wydarzyły się naprawdę.
Wciąż nie wiem dlaczego.

Powrót pierwszy (lato 1945)

Lodowa skorupa

Po powrocie *stamtąd* żyję jak pod grubą warstwą lodu, po którym inni jeżdżą z zapalem na łyżwach, z rozpalonymi radością policzkami. Głęboko pod lodem. Niewidzialna. Osa-
motniona. Ledwie wyczuwalna. Bezsilna. Skazana na to, by
czekać, aż ktoś wykona ostatni gest, postawi kropkę na końcu
źle skleconego zdania, nadepnie na wążutkie wystające na-
czynie wypełnione solą. Zamarznęte w lodowej skorupie.

Wracam do domu. W błędnym przekonaniu, że to wciąż
jest mój dom. Pałacy gorąc. Unikam nawet bocznych dróg.
Kierowana nieuzasadnionym instynktem samozachowaw-
czym. Teraz już mogę iść środkiem. Drałować w skwarze
roztopionych jezdnii jak inni. Już nie muszę się bać. Wojna
się skończyła.

A jednak ciągle się boję.

Wyczuwam wyprostowany palec kościółka, domyślam
się czerwieni ścieśnionych dachów, kątem oka widzę bryłę
pałacyku, długą jak nitka makaronu, i zabudowania naszego
majątku. Wlokę się rowami, pozwalam, by nogi wysmagały
mi kłujące pokrzywy, te zielone szczypce, *idzie rak – niebo-
rak, jak uszczypnie, będzie znak*; tak śpiewaliśmy, spaceru-
jąc dziecięcymi paluszkami po smukłych skrzydłach mamy.
Niebieskie żyły, które wychodziły jej na przegubach... nie
umiała ich ukryć, nikt jeszcze nie wymyślił żadnego tuszuja-
cego kosmetyku na pulsujący rurociąg ciała. Wieczorem jej
ręce błyszczały od pachnącego tłuszczu. Odpoczywały w nocy
nasmarowane specjalnym kremem.

Odpoczywały też właściwie za dnia.

Trzęsą mi się kolana.

Upadam w niską zeschłą trawę. Pod słońce w zenicie. Dopadnie mnie. Ani chybi. I na obnażoną bladość rąk i nóg chluśnie strumieniem gorących igiełek. Jestem łatwym celem. Każdy szuka takiego celu. I znajduje. Zawsze jest ktoś o szczebelek niżej. Ktoś bardziej bezbronny. Bardziej odkryty.

Przeglądam się z bliska pełnej krzątaniny ziemi. Z daleka widać spokój. Bezruch. Pod lupą nerwową panikę. Owady. Mrówki. Chrząszcze. Kozioróg dębosz. Świerszcze. Kulanki. Biedronka. Konik polny. I pająk-uciekinię. Podczas gdy mnie roztopia płynący z góry żar, one umykają przed zimnymi słonymi kroplami, których ja nie umiem zatrzymać. Zabijam robactwo słoną ulewą, cała ta drobnica topi się w moim smutku, paląco bezsilnym smutku. Nic już nie będzie jak przedtem. Nigdy nie będę dotykać *ich* skóry. Skóry chroniącej żyjące ciała. Nigdy nie będziemy razem. A nawet gdybyśmy byli... Co byśmy zrobili z niedawną przeszłością, jak byśmy się od niej wygali, jak wygrzebalibyśmy się z tej jamy. W której ugrzęzła rodzina. Moje dzieciństwo. Wszystko, co tam ugrzęzło... Tego już nie ma, no tak, tego już nie ma.

Zostało nasze gospodarstwo. Mury, za którymi się schowam i uzbroję, za którymi się osunę na ziemię, by potem znów stanąć na nogi, mury, za którymi się wzmocnię szczęśliwymi wspomnieniami. Mury, za którymi się schowam i uzbroję, za którymi...

Ziemia pęka. Kiwam głową w tę i we w tę. Ciężkim odważnikiem przygniataam i miażdżę uciekającą mrówkę. Resztki mrówczego ciała rozwałkowuję środkiem czoła. Moje przyklejone znamię śmierci. Palcami chwytam się trawy, rwę ją kępkami. Póki nie zniknie pokusa, żeby wrzeszczeć i jęczeć i rozdrapać sobie paznokciami ręce, wbić paznokcie głęboko w skórę i nie puszczać, rozłożyć ramiona i z całej siły uderzyć w wystający gwóźdź, ścisnąć w dłoni szklankę i zgnieść na szklaną miazgę. Rwę niewinną trawę. Babkę. Rumianek. Lebidkę. Dopóki się nie zmęcę, dopóki nie padnę.

Oślepia mnie słoneczna lawa. Leżę na lewym boku. Skulona. Z kolanami pod brodą. Jak płód w łonie matki. Możliwe, że kilka minut przedrzemałam. Możliwe, że tylko zemdlałam. Słońce praży i przypieka mi prawy policzek. Lewy schłodziła ziemia nasiąknięta łzami. Wstaję. Jak nieżywa. Poprawiam bluzkę i spódnice. Bezlitośnie strzepuję z siebie przyczepione żdzbla trawy. Sunę ręką wzdłuż spódnicy do jej brzegu i wkładam palec pod szew, tam, gdzie się rozpruł. Jak do naparstka. Ślinię go. Zaszło mi w gardle. Paznokciem owiniętym w wilgotny materiał szoruję i zdrapuję rdzawe zaschnięte resztki mrówczego ciała. Spódnica się przekręca i podnosi się cała, tworząc wokół mnie lejek. Jestem w okopie. Od pasa w górę. Znowu ślinię palec. Przerzucam lejek. Przysiadam, żeby przetrzeć zakurzone buty ze sprzączką. Które mi w Pradze włożyła przerażona ciocia Ottla. Chciała jechać ze mną. Wyślizgnęłam się jej, byłam wściekła. Do domu wrócę sama. Jestem już przecież dorosła.

Patrzę na jaskrawą zieleń trawy w rowie poprzetykaną zgniłoczerwonymi plamkami czereśni, w które wbija się rój os, powstrzymuję odruch wymiotny.

Wies wydaje się wyludniona. Nikt nie wybiega z białych domków, jak to sobie wyśniłam. Nikt mnie nie wita, nie obejmuje, nie współczuje. Nie wmusza pełnego talerza. Mam mętlik w głowie, boję się, że nikt nie przeżył.

Możliwe, że ten ostrzyżony na jeża stwór nikogo nie interesuje, bo nie trzyma za rękę swojego taty. Obok tej dziewczyny nie kolebie się szanowany przez wszystkich mężczyzna w kapeluszu. Mężczyzna, który wzbudzał popłoch, kiedy z głuchym warkotem silnika przejeżdżał gościńcem na długim motocyklu. *Oryginalny model Czechie-Böhmerwald*, tłumaczył z zachwytem i dumą ciekawskim męskim spojrzeniem. Pozwalał im dotknąć potwora, pokierować sobie, objechać cały pałacyk dookoła. Jednemu po drugim. Sam przewiózł osłupiałego fryzjera Kleina – podrygiwał z brzytwą w ręce, wyglądał jakby zamarzył w pozycji służalczego ukłonu. Wtedy

to ryczące monstrum mnie przerażało, model turystyczny mógł przewieźć oprócz kierowcy jeszcze dwóch pasażerów. Kiedy mama po pierwszej jeździe schodziła z motoru, przytrzymywała się taty, żeby się nie przewrócić. Kręciło jej się w głowie. Przeraziła ją plama od oleju na nowej kremowej sukience, szytej na miarę; zdenerwowana wyszeptała wtedy tacie do ucha: *nie chcę skończyć jak Isadora Duncan*. Od tej pory, ku niezadowoleniu taty, na czarodziejski model już nie wsiadła. Ja tak. A wtedy wybiegali, wtedy się kłaniali, wtedy machali. Śmiali się i machali. Może tylko się śmiali. To monstrum mnie przerażało, a dzisiaj tak bardzo bym chciała usłyszeć za sobą ryk gromu i uskoczyć przed nim. I zobaczyć płamę od oleju na kremowej sukience.

Ktoś mi wsuwa do mózgu fotografię, która się w nim zaczyna i nie chce zniknąć. Po obu stronach motocyklu stoją dwie dorosłe postacie. Mama w koronkowej kremowej sukience, w kapelusiku, który podtrzymuje prawą ręką. Ojciec w czarnym ubraniu, w rozkroku, jedną ręką opiera się o motocykl, drugą trzyma się chwacko pod bok. A na długim siedzeniu, jak na widowni, ze skrzyżowanymi nogami w białych podkolanówkach moje rodzeństwo. Rozalia. Adolf. A w środku ja, z niedopiętymi zatraskami na niebieskiej aksamitnej sukience, którą na siebie w pośpiechu narzuciłam przed zdjęciem. Adin stroił miny.

– Wie hatte sich die Schwester denn so schnell angezogen?

I z wielką kokardą we włosach.

– Motyl ci usiadł we włosach – powiedziała mama, poprawiając mi fryzurę – nastroszymy mu trochę skrzydła.

Zatrzymuję się w jabłoniowym sadzie. W naszym jabłoniowym sadzie.

Jestem w domu.

Serce wali mi w piersi, taka nieznośna duchota, a ja nie mogę powstrzymać malarycznych dreszczy. Na każdym centymetrze kwadratowym tropię dotyk moich najbliższych. Dotyk

życia, którym żyłam. Teraz życie tylko obserwuję. Ale znajdę sposób, jak życie *przeżyć*.

Muszę się pozbierać, opanować łzy wzbierające po powiekami. Nie poddać się u samego celu jak godzinę temu. Tam. Na jaśniejszej łące w pobliżu rowu z powykęcanych drzewami czereśniowymi. Wszystko będzie dobrze, jestem w bezpiecznym miejscu, zwierzątko gramoli się do swojej norki. Lekko, ale z czułością dotykam jabłoniowych listków, gałęzi, altany z cienkich tyczek, przechodzę przez rozległe, wybrukowane polerowanymi kamieniami podwórze. Aż do rzeźbionych drzwi z fantazyjnymi okuciami. Z ornamentami splecionych węży, które projektowała moja mama. I które dla niej starannie wykonał młody czeladnik Ladinek Stolarz.

Zesztywniałymi palcami obejmuję metalową spiralę czarnej klamki, zasłaniając figurki węży. Naciskam całym ciężarem ciała. Jest otwarte.

Wchodzę.

Bezlitosny cios nadziei prosto między oczy. Na wysokim wieszaku w holu wisi kapelusz taty, jeszcze tam wisi, nie zdążył go *wtedy* założyć, mimo że nie wychodził z domu bez nakrycia głowy. Nigdy. Nie zdążył go założyć *wtedy*, kiedy go zabierało gestapo. Patrzyliśmy na to ze zdumieniem. Jak się haniebnie wdrapuje na pakę małej ciężarówki, gdzie już ktoś siedział; przesuwali się, żeby zrobić mu miejsce. Ze zdumieniem obserwowaliśmy też mamę, spoglądaliśmy na nią z niepewnością. Mamę, która nie płakała, nie złościła się, nie panikowała. *Mówiłam mu to, baranowi jednemu, poczekamy jakiś czas u rodziców w Pradze, w środku kraju, a potem się zobaczy.*

Wierzyła, że tata wróci. Że to pomyłka. A najbardziej dotknęło ją to, że nie posadzili taty w samochodzie osobowym, że musiał dołączyć do reszty w rozklekotanej ciężarówce. I że mu brutalnie zerwali opaskę, którą w pośpiechu zakładał.

Nigdy już go nie zobaczyłam. Nigdy.

Teraz mogę dotknąć jego kapelusza.

Gorąca zupa z soczewicy

Drzwi po prawej prowadzą do jadalni i kuchni. Czuję mrowienie w całym ciele. Jak wtedy, kiedy mama, poruszając delikatnie palcami, przejeżdżała mi nimi po plecach, wzdłuż całego kręgosłupa. Z góry na dół. Z góry na dół.

– Siedź prosto, nie garb się. Będiesz krzywa jak paraGRAF.

Starsza siostra mrugała do mnie porozumiewawczo: *wytrzymaj, ja też przez to przechodziłam*. Brat rechotał: *na nią działa tylko porządny kułak w plecy, na tego pieszczoszka wypieszczonego*.

Ściskam drugą klamkę swojego domu.

Decyduję się otworzyć.

W ostatniej, nieźnośnie ostatniej nadziei, że przy stole będą siedzieć wszyscy, że czekają na spóznialską, która się nicopatrnie oddaliła, wpadła do czarnej jamy, a teraz się z niej wygrzebała. I z pokaleczonymi rękami wraca do świata, który na chwilę przesłoniła jakaś ohydna poskręcana z mora. Uchylam drzwi, będę siedzieć prosto, już zawsze przy stole będę siedzieć prosto, jak linijka, będę siedzieć prosto, mamusi, obiecuję, obiecuję, tylko tu bądź, wracam już inna, prawie dorosła, nie, ja *jestem* dorosła, dziecięce słowa potoczyły się na wszystkie strony i zniknęły, skóra się pomarszczyła, proszę, Panie Boże, proszę, bądźcie tu, siedźcie tu i uśmiechajcie się, śmieJCIE się, trzęJCIE się ze śmiechu, rechocZcie jak szaleni, tarzajCIE się ze śmiechu, trzymajCIE się za brzuchy. Ależ się ze mnie ponabijaliście! Że przetrwałam w tej okrutnej grze. Że żyjemy. Żyjemy.

Zanim całkiem otworzę, liczę do siedmiu. Szczęśliwa liczba.

W jadalni rzeczywiście ktoś stoi.

Oddycham z ulgą, mam ochotę pobiec i wtulić się w kobiece piersi. Ale czuję, jakby coś pętało mi nogi. Ostrożność. Wyrobiony instynkt. Nie czuję znajomych zapachów.

Ktoś tu stoi. Ale to nie mama. Ani nasza kucharka. Nie jest to też moja siostra.

To obca Kobieta.

Młoda, wystraszona Kobieta ze sterczącym brzuchem. W fartuchu. Naszą chochłą nalewa siedzącemu mężczyźnie gorącą zupę z soczewicy, zagęszczoną fasolą i kaszą. Do głębokiego kwiatu talerza. Do talerza z naszego białego serwisu obiadowego z błękitnym wzorem. Ze wzorem, który dla wiedeńskiej fabryki porcelany zaprojektowała moja mama.

Zamieramy wszyscy troje.

Mężczyzna nerwowo ociera usta. Grzbietem dłoni.

– Czego chcesz? Pukać nie umiesz?

– Pukać? Jak to: pukać?

Już znowu jestem na granicy płaczu, połykam go, pcham z powrotem lzy, które się cisną na linię startu, wyprzedzam je swoimi strunami głosowymi.

– Ja tu mieszkam. Jestem Gita. Gita Lauschmann. Mój tata kupił sobie pierwszy motocykl w gminie i siadywał w tym skórzanym fotelu w rogu, za panem.

Co za brednie wygaduję. Lepiej paplać byle co, żeby nie zostało miejsca na płacz.

Wzdrygam się. Żadnej radości, żadnych uśmiechów, żadnych wesołych okrzyków. Nic. Żadnego zaproszenia do stołu i dokładek do talerza dla mojego skurczonego żołądka. Nic.

Jestem zmęczona, jestem roztrzęsiona, jestem wycieńczona. Chcę mieć to za sobą. Położyć się do swojego łóżka, wyciągnąć się na prześcieradle. Chce mi się wrzasnąć, chce mi się wrzeszczeć z rozcapierzonymi palcami. Przecież ja jestem Gita Lauschmann! Córka człowieka, którego rozwał wiatr. Zanim odmaszerował do gazowej łaźni, podobno uniósł lekko kapelusz i przepuścił starszego pana: *proszę przodem, szanowny panie*. Ja jestem Gita Lauschmann! Córka wykształconej i wychowanej po miejsku matki, przesiąkniętej wonią europejskich kawiarni, matki, której tak ciężko było się tu zakorzenić. I której ojciec dlatego postawił tę podłużną willę. Na tę wielką budowlę ludzie na wsi trochę złośliwie, a trochę z zakłopotaniem mówili „pałacyk”. Ja jestem Gita

Lauschmann! Córka człowieka pracy, który zatrudniał i żywił większość umorusanych przybłąd w okolicy. No więc, wy pastuchy, jakim prawem rozwalacie tu swoje spocone tyłki na naszych krzesłach, co wy sobie w ogóle wyobrażacie? Ja jestem Gita Lauschmann, pakujcie swoje manatki i wynocha.

Nie mówię nic. Krzyczę wewnątrz, do środka. Wracam *stamtąd* przesiąknięta wstydem, który podaje w wątpliwość wszelkie prawo. Prawo do czegokolwiek.

Nawet do powietrza, którym oddycham.

– No, ale o co właściwie chodzi?

Mężczyzna oprzytomniał pierwszy.

– Ja... ja jestem Gita Lauschmann. To jest nasz dom. Wróciłam.

Muszę dać drapaka. Już to wiem. Jestem wyćwiczona. Wietrzę niebezpieczeństwo. Dochodzi to do mnie, kiedy mężczyzna nagle wstaje. Tak nagle, że powierzchnia gęstej ciemnej zupy zaczyna się kołysać. Wylewa się na nasz ręcznie wyszywany bielusiński obrus. Dochodzi to do mnie w momencie, kiedy Kobieta blednie, jak w transie wkłada z powrotem chochlę do lśniąco białej wazy z reliefami secesyjnych motywów i jęczy.

– Nie, już nieee...

Mężczyzna mierzy mnie wzrokiem, zwraca się do Kobiety.

– To się we łbie nie mieści. Te pętaki sobie nigdy nie odpuszczają, czy co?!

Z kimś mnie pomylili. Reszta niewylanej zupy się kołysze, w końcu przestaje, dopasowuje się do dna talerza, wraca do swojego koryta, z pękatej wazy leci para, ręka mężczyzny jest silna, porośnięta czarnymi włoskami, mógłby mnie tą błyszczącą łyżką z całej siły palnąć prosto w czoło, mógłby mnie złapać za odrastające kłaki, chwycić za ucho, wepchnąć głowę do gorącej kąpieli błotnej jak do latryny. Wybiegam, w pędzie mijam kapelusz taty, wyskakuję drewnianymi drzwiami w kierunku zabudowań gospodarstwa, instynktownie szukam

najbezpieczniejszej kryjówki, szacuję szanse. Instynkt samozachowawczy. Wyrobiony *tam*.

Wpadam do szopy, chowam się przed brązową zawiesziną z rozgotowanymi guzikami. Wlatuję do ukochanej szopy, w której bawiliśmy się jako dzieci. Chowam się do rozwalającej się szopy, którą tata chciał zburzyć. Planował postawić na jej miejscu imponujące muzeum. Siadam w kucki. Znienawidzone dreszcze. Kręci mi się w głowie. Opieram ją o kolana. Na udeptanej podłodze czarna gąsienica przesuwając się jak harmonijka. Naciaga się i przeskakuje kawałek dalej. By znów się tam naciągnąć. I tak w kółko.

Co tu się dzieje, do diabła? Dlaczego i przed kim się chowam? Przed łyżką papki w niewłaściwej ręce? Nie pomyliłam wsi? Poczekam, aż coś wymyślę. Aż wybrzmi to łupanie w głowie. Serce niechętnie wraca do swojego pulsu, chciałoby się przedrzeć, przebić się z hukiem przez klatkę piersiową.

Pokrywka na garnek

Podnoszę głowę wsadzoną między kolana. Przede wszystkim oddychać. Przed oczami mam dziesiątki uciekających czarnych włochatych gąsienic. I przebliski zatrzymanych obrazów. Fotografii zastygłych w mózgu. Pierwszy błysk aparatu. Rozalka, cała zatopiona w koronkach, tronuje na wysokim drewnianym dziecięcym krzeselku z okrągłym oparciem. Z tortu wystaje samotna czerwona świeczka, wbita w miękką, słodką masę. To krzeselko tata zrobił sam. Na urodziny Rozalki. Pomalował je białą farbą, gęstą emulsją. Przymocował oparcie, które moja mama wymościła swoją miękką, pofałdowaną błękitną poduszczką; umocniła ją czerwonymi sznurkami. A z tyłu namalowali brązowego niedźwiedzia z wielkimi rozszerzonymi oczami. Bałam się tego niebieskookiego niedźwiedzia. Dopóki nie wpadłam na pomysł, że mogę go unieszkodliwić, paćkając go resztkami jedzenia. Niekończący się strumień przeblysków. Rozalka ma już dwie

świeczki. Potem trzy. A potem są nacięcia Dolfika, ciało Rozalki już by nie przeszło przez otwór między poręczami. Niedźwiedź był strażnikiem Adina. Dopóki ciało brata nie napęczniało i nie przekazało niedźwiedziego tronu najmłodszemu żarłokowi.

Moje pierwsze nacięcie przez środek tortu, który matka przyozdobiła słodziutkimi czekoladowymi wiórkami. Gdzieś w pamięci mam zakopane rozkoszne uczucie, jak leciutko bębnię rękami po miękkim kremie, między palcami rozcieram gładką masę, próbuję dostarczyć do ust czekoladową rozkosz. Czuję, jak podniebienie cierpnie mi od słodczy.

W tym foteliku-karmniku, jak go, chichocząc, nazywała wiejska akuszerka Drbawa, przesiedzieliśmy swoje dzieciństwo. Ministołek z jadalni, krzeselko z niedźwiedziem, który patrzył i nie pozwalał oszukiwać, *misiu pilnuje, jak wszystkiego nie spapuszasz, to się go zapytam i on mi wszystko powie. Niedźwiedź-donosiciel*, naśmiewał się Adin, *misiu-kapuś, misiu-wtyczka, misiu-informator*.

Żywy przebłysk z rodzinnego albumu. Siedzę w kucki w brudnej szopie. Poniewiera się w rogu, na niskim regale z wyłamanymi półkami, porzucone. Nasze białe, lekko obdrapane krzeselko. Opieram się pokusie, by je postawić na klepisku. Rzucić się do niego. Dzisiaj, ze swoim wychudłym ciałem, bez trudu bym się prześlizgnęła przez ten otwór. Opieram się pokusie, by przywołać stare czasy. Uciec w nie. Majtać nogami na wysokim krzeselku, pakować niedźwiedziowi palce do wylupiastych oczu.

Strach przed otępiającą słabością, chyba w powietrzu krąży niedźwiedzie widmo. Na przewrócone krzeselko pada przedwieczorna resztką mętnego światła, promyk, który się przedarł skądś z góry, przewiercił się przez szparę w dziurawym dachu. Obmacuje je z niedowierzaniem, jak ja, wbija się w wylupiastą niedźwiedzią gałkę oczną, scałowuje z krzeselka ostatnie siły, aż sam osłabnie, aż zmrok narzuci na niego ciemny płaszcz. Przez który już nie przeniknie.

Chwycić cienkie drewniane nogi z obłupanym lakierem, przytrzymać się ich z całej siły. Dowód na to, że jestem w domu. Dowód na to, że nie jestem wariatką. Dowód na to, że tu naprawdę należę i pasuję, jak pokrywka na garnek.

Rodzinny album rozpętuje burzę w mojej głowie. I ciężkie tupanie. Niespotykane indiańskie okrzyki. Niespotykany ruch. Nasza wieś była taka cicha. Kiedy biesiadowaliśmy przy okrągłym stole, każde przelknięcie było słychać jako głośny chlupot. Było słychać, jak łyżka przecina powietrze. Dopiero teraz to sobie uzmysławiam, myśli łączą się w jedną całość. Przybiegają, żeby mnie przywitać. Ustawiają się w zastęp, z bukietem na przedzie. Drżą, ponieważ się boją. Że mnie obrazili.

Obejmuję swoje ciało, zbieram myśli. Niepotrzebnie spanikowałam. Tych dwoje młodych ludzi na pewno troszczy się o nasz dom, broni go przed złodziejami. A ja się zjawiam jak duch i w popłochu uciekam.

Wstyd mi. Uciekałam co sił w nogach, bo słowa zaschły mi w gardle, bo zobaczyłam rękę Kobiety, jak kurczowo ścisła błyszczącą chochlę. Tak jak ją nieskończenie wiele razy ścisłała kucharka albo jak nią pomału nalewała zupę mama. Zobaczyłam mięsiste wargi mężczyzny, w których utknęła srebrna łyżka: tą łyżką jadł i z niej siorbał ojciec, powściągliwie kosztowała zupy siostra, chleptał starszy brat. Nad nią grymasiłam ja. *Przestań się w tym babrać i jedz porządnie*.

Przyglądam spódnice na udach. Pomiętą bluzkę wpuszczam do środka. Oglądam się, kładę głowę na prawym ramieniu; podniosę i ustawię dziecięce krzeselko przynajmniej w myślach, wzrokiem. Czerpię z niego siłę. Prostuję się, biorę oddech i dumnie wychodzę przez rozklekotane drzwi. Jestem przecież u siebie. Wychodzę z poczuciem ulgi. Ten błogi stan trwa do chwili, gdy mnie z hukiem powali ogromne męskie łapsko.

Ból zaczyna momentalnie palić trafiony policzek.

Podkowa na szczęście

Światło zielonej lampki stołowej oślepia, mocno kłuje w oczy. Zasłony są zaciągnięte, przepuszczają tylko nieruchomy zaduch. Mrużę oczy, na przemian siadam i wstaję z twardego krzesła. Do którego przywłókł mnie jeden z nich.

– Nie jęcz, stul pysk. No tak, wojna się co prawda skończyła, ale ciągle musimy być ostrożni, żadnego współczucia dla wroga.

To akurat rozumiem, też jestem ostrożna. To są konieczne i nieodzowne środki. Właściwe, bo sprawiedliwe. Sprawdzają każdego jak leci. Swoich też. To tylko dobrze o nich świadczy.

Wzdłuż ścian w sztucznym półmroku ustawili się czterej mężczyźni. Piąty siedzi naprzeciwko, łapie mój wzrok w lej światła. Fryzjer Klein stoi. Zamiast brzytwy ma automat. Nie przymila się, chłopięcą pierś ma wypiętą. Na wysokości ramion Kleina mierzy mnie wzrok chłopiny z rzadkimi, natłuszczonymi kosmykami włosów zaczesanymi nad czołem w pieczołowicie ułożone pasma. Jakby przyklejał te strąki do czaszki jeden po drugim, od linijki. Jego nie znam, tych dwóch sympatycznych osiłków po lewej – tak. Pracowali u taty. W warsztacie ślusarstwa budowlanego i maszynowego. Unikają mojego wzroku, uczestniczą w przesłuchaniu z zakłopotaniem, nie dotykają mnie. To ich nie wiadomo czym spowodowane zafrasowanie jest dla mnie dość zagadkowe. A ten za stołem, dobroduszny olbrzym Ladinek Stolarz, był czeladnikiem w kuźni. Miałam osiem lat, to były moje ósme urodziny, kiedy wykuł dla mnie podkowę na szczęście – z moim imieniem i czterolistną koniczynką. Żebym nikomu nie powiedziała, że w trzcinach przy leśnym stawie, dokąd mieliśmy absolutny zakaz chodzić, leciutko i delikatnie pocałował uszczęśliwioną Rozalkę w usta, a potem, na sianie, w czoło. Minęło osiem kolejnych lat i wydaje się, że w ogóle mnie nie poznaje.

– Nie da se pani spokoju, co?

Nie rozumiem, dlaczego Ladinek mi mówi per pani. Oglądam się, nikogo za mną nie ma. Jestem uprzywilejowana, mam wyłączne prawo do wszystkich pytań.

– Do mnie, panie Stolarz, przecież nie musi pan mówić na pani. Pan mnie chyba nie poznał. Jestem Gita. Gita Lauschmann, przecież pan z tatą... pamięta pan Rozalkę... tam, w lesie...

Cztery rozbawione twarze, dwie z nich z wymuszonym grymasem wesołości. Najgorsza szmira zapalonych amatorów z wiejskiego teatru. Rozglądam się. Świetny nastrój. Dobry znak. Wszystko się wyjaśniło. Taka śmieszna pomyłka, boki zrywać.

Nie poznali swojej Gity.

Stolarz raptem zmienia ton.

– Ty pętaku jeden, wy nam nie dacie spokoju, ledwie się wojna skończyła, a wy, szkopy przebrzydłe, już znowu wyłazicie ze swoich nor, naziuchy zgniłe.

– Ja pana, panie Stolarz...

– Szanowny panie.

– Ja pana, *szanowny* panie Stolarz, nie rozumiem. W ogóle nie wiem, o czym...

– No, to może ja powinienem specjalnie dla panienki szprechać po niemiecku, żeby panienka kapowała? A czego by sobie panienka jeszcze życzyła, może żeby tak na przykład zahajlować?

Pomyliłam rok? Wieś? Dom? Wojna się nie skończyła? Ale tam, w szopie, przecież się poniewiera nasz zeselek...

– Pan mnie chyba, panie... *szanowny* panie Stolarz, nie poznał. Ja jestem...

– Ależ poznałem, dobrze wiem, coś ty za jedna. Mnie się nie musisz przedstawiać. Tylko panu Poledniakowi ładnie powiedz, co z ciebie za sztuka. Bo on mianowicie, w odróżnieniu od innych, ryzykował mianowicie swoją głową naprawdę, i walczył też naprawdę...

– Jak najprawdziwszy partyzant.

– No przecie. On był mianowicie jednym z tych, co prze-
gnali nazistowską hydrę, wszystkich tych, tych, tych... no,
takich jak ty. No, no właśnie, to teraz mu się przedstaw.

Poledniak naciąga bluzę na pępek, wypina pierś, z przy-
mrużonymi oczami delectuje się tym, jak od czubka głowy
po koniuszki palców ześlizgują się po nim pełne podziwu
spojrzenia obecnych. Pyszną się z Kleinem jak cynowe żoł-
nierzyki. Dlatego wszystko, co mówię, kieruję do czarnej
pięciolinii na przetłuszczonej głowie.

– Nazywam się Gita Lausmann. Mieszkam tutaj, pod
numerem 77. Urodziłam się 14 marca 1929. Wróciłam do
domu, bo...

Cynowy żołnierz Poledniak podchodzi dwa kroki, zgina
się w pasie. Natłuszczone ścieżynki mam tuż pod nosem.
Mogę policzyć zapomniane, rozsypane piegi. Niedokończony
obraz podstarzałego impresjonisty.

– Taaak? Gita Lausmann? A czy to jest czeskie nazwi-
sko? Twój staruszek jest Czechem?

– Mój tata jest... ojciec był...

Kwaśny zapach potu przewraca mi skurczony żołądek;
wystarczyłoby lekkie szturchnięcie, a wybije mi zęby. Boję się
go. Ciężko pokonać wstręt do czegokolwiek, co niemieckie.
Ja też mam w sobie ten wstręt, nasiąkłam nim *tam*. Taka
pomyłka. Przecież to tylko zbitka głosek, imię, za które nie
mogę odpowiadać, które mi wybrali, którym mnie oznaczyli,
gdy zostałam wyparta z raju, kiedy się przepchałam z łożyska.
Jedna z kresk pięciolinii zjeżdża do tyłu, inna wygina się
w łuk i rozciąga, przypomina czarną wykręconą dżdżownic-
kę, nastroszoną gąsienicę; najchętniej bym ją rozgniotła.

– Mój tata umarł. Mój tata umarł, bo był Żydem...

– *Niemieckim* Żydem.

Dlaczego to mówi akurat Ladinek Stolarz? Nie rozpłakać
się. Zatrzymać je wszystkie przed linią startu, w przeciwnym
razie rozwścieczę ich jeszcze bardziej, łyż zawsze drażnią
mężczyzn. Przede wszystkim trzymać fason, nie złamać się,
nie wrzasnąć.

Głos okolony ramką natłuszczonych wyschniętych kło-
sków wyszczekuje:

– Ale tylko od Hitlera zależało, czy jakiegoś Żyda, który
by chciał i mógł się bić po jego stronie, uznać za honorowego
aryjczyka.

– Mój tata... nie wiem, czego pan chce... wróciłam...

– Podczas gdy miliony *niewinnych* padły.

Ach, tak, tak, oczywiście, wyrzuca mi to, co sama sobie
wyrzucam. To dlatego są tacy wściekli. Brakuje im tu ojca.
Są rozgoryczeni, bo gospodarz, którego tak potrzebowali
w gminie, nie wrócił. Są rozgoryczeni, bo zamiast niego wró-
ciło wychudłe, roztrzęsione nic. Szesnastoletnia dziewczyna
z mózgiem dojrzalej kobiety.

– Tak, oczywiście, niewinni. Tata. Mama. Siostra Rozalka.
Umarli *tam*. W obozie koncentracyjnym. O Adinie nie wiem
nic, ale jeżeli przeżył, to znaczy jeżeli wróci, to będziemy się
bardzo starać, żeby nic się nie zmieniło, żeby robić wszystko
tak, jakby nasz tata ciągle tu był, będziemy się starać, żeby-
ście wy...

Głos odmawia mi posłuszeństwa. Brak mi woli, teraz nie
chcę niczego rozwiązywać, chcę po prostu odejść do swojego
pokoju, rzucić się na pierzynę, chleptać ciepłą zupę z socze-
wicy ze swojego talerza, odkrajać kawałek chleba, zanurzyć
się w ciepłej wodzie, spać, spać.

Tytuł oryginalu: *Peníze od Hitlera* © Host Brno 2006
Projekt okładki: Paulina Zielona
DTP: Aleksandra Ziemiańska

© Radka Denemarková, 2006
© Host – vydavatelství, s.r.o., 2006
© for the Polish edition by Oficyna Wydawnicza ATUT
– Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2008
© for the Polish translation by Tomasz Timingeriu
and Olga Czernikow

ISBN 978-83-7432-301-7



Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe
50-010 Wrocław, ul. Kościuszki 51A
tel./faks (+48) 071 341 32 04
tel. (+48) 071 342 20 56
e-mail: oficyna@atut.ig.pl
<http://www.atut.ig.pl>